

Czesław Znamierowski

Zespół osób

Przegląd Socjologiczny / Sociological Review 8/1-4, 141-170

1946

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

I. ZESPOŁ OSÓB

1. Fakt społeczny. Istota żywa jest tworem odosobnionym. Jej powłoka odziera ją ostro i ostatecznie od środowiska. Zdarzenia w obrębie tej powłoki, procesy życiowe, należą niepodzielnie do tej jedynej istoty, zachodzą w niej. Splatają się one w jedną wspólną całość i wchodzi w skład dziejów tej jednostki. Całość ta ma swoistą dynamikę i rytm, zależy bowiem przeważnie od czynników, które są w samej jednostce. Układ nerwowy dawkuje i rozsyła impulsy po całym ciele, gruczoły wstrzykują w krwioobieg swe mikroskopijne wytwory.

Ale procesy życiowe nie tworzą całych dziejów jednostki. Środowisko ma tu również swoją rolę. Rzeczy, które ją otaczają, ingerują w jej życie dwojako. Rzecz R_1 ma wpływ na jednostkę I, jeśli tak jest związana strukturalnie lub przyczynowo z rzeczą R_2 , iż jej umożliwia albo uniemożliwia działanie na I. Mur, oceniając grunt, gdzie rośnie konwalia, wpływa przychylnie na jej rozwój. Nie oddaje swej energii roślinie, lecz tylko stwarza warunki, by na nią działały inne rzeczy. Rzecz R_1 , działa natomiast na I, jeśli dzięki descendencji przyczynowej oddaje jej część swej energii. Woda w gruncie działa na konwalię, gdyż, przesączając się do jej tkanek oddaje jej rozpuszczone w niej substancje, a z nimi pewien ładunek energii.

Choć odosobniona, jednostka jest skądinąd istotą społeczną ze swej natury. Gdzie jest jedna, tam zazwyczaj w pobliżu znajduje się druga. Już do tego, by powstała, trzeba, by przed nią istniała inna, macierzysta. A pozostawiona sama sobie, nie potrafiłaby stworzyć warunków, wystarczających jej do życia. Toteż najczęściej w pobliżu jednostki I_1 znajduje się jednostka I_2 , i ingeruje w jej dzieje wpływem lub działaniem. Wtedy w wspólną całość układają się zdarzenia trojaki. Po pierwsze, zdarzenia w granicach powłoki jednostki I_2 , która wpływa czy działa. To są zdarzenia, indywidualnie przynależne tej I_2 , i nikomu innemu; to są jej procesy życiowe, jej ruchy, ewentualnie jej przeżycia. Bez ocienia konwalię przez to, że w swym listowiu zatrzymuje promienie słońca. To, że je zatrzymuje, jest sprawą jego „osobistą“. Jaskółka ruchem dzióbka podaje pisklęciu pożywienie: ruch należy do niej wyłą-

cznie. Po drugie, zdarzenie w środowisku, którym tamte dały początek, albo które zająć by nie mogły, gdyby nie tamte: woda nie przesączałaby się do tkanek rośliny, gdyby wyparowała pod promieniami słońca. Te zdarzenia nie należą ani do jednej, ani do drugiej jednostki. One są spoiwem między nimi. Bez nich nie sprzęgłyby się dzieje obu jednostek. Po trzecie wreszcie, zdarzenia w drugiej jednostce, które się wywodzą przyczynowo ze zdarzeń w pierwszej. Do tkanek konwalii przenika woda gruntowa; pisklą połyka przyniesiony mu pokarm. Te trzy zespoły zdarzeń, rozlokowane w różnych miejscach, tworzą jedną całość, którą opisuje zazwyczaj zwięzłe jeden czasownik przechodni. Mówimy: „bez ocienienia konwalię“, „jaskółka karmi pisklą“. W takim krótkim zwrocie zacierą się to, że wpływ społeczny lub działanie społeczne jest zawsze faktem trójdzielny. Ze względu na to, że w fakcie takim uwikłane są co najmniej dwie istoty żywe, nazywamy go też społecznym.

2. Dwie tendencje przeciwne. Istotę żywą najbardziej interesują w środowisku inne istoty żywe. Ku nim zwracają się jej najsilniejsze potrzeby i uczucia, od nich zagrażać jej może niebezpieczeństwo, jakiego nie potrzebuje się obawiać skądinąd. Jednych szuka sama, bo tak czy inaczej oczekuje korzyści z tego, że się zetknie z nimi: innym schodzi z drogi, bo się obawia od nich jakiejś szkody. I tak już przystosowana jest instynktownie jej uwaga, że czujna jest na wszelkie poruszenia innych istot. Może spać spokojnie pod uderzeniami wichru, ale budzi ją czy niepokoi najlżejszy szelest, skoro jest sygnałem, że się w pobliżu znajduje twór żywy. Zwierzę umie też subtelnie rozróżniać zapachy, które wiatr przynosi od innych zwierząt. Ruchliwe powietrze, przenosząc daleko pyłki różnych substancji, jest dlań źródłem cennych informacji, niemal jak fala dźwiękowa. Wyczuwa też zwierzę nieomylnie, czy rzecz, która się porusza, jest czy też nie jest istotą żywą. Do ruchu mechanicznego przywyka łatwo i nań obojętnieje. Natomiast ruch samorzutny, nieoczekiwanie zmienny, pobudza czujność zwierzęcia. Oto, na przykład pies w obliczu zwierzokształtnej zabawki doznaje wahania, zwłaszcza, gdy nie dostrzega, skąd przychodzi przypyływ ruchu. Nagła, niby samorzutna, eksplozja ruchu każe mu wierzyć, że ma przed sobą zwierzę; gdy ruch ustaje albo staje się bezdusznie miarowy, obsiadają go trzeźwe wątpliwości, które rozstrzygnie wreszcie, węsząc i dotykając łapą.

Zwierzę może oczekiwać od innych zwierząt na ogół więcej szkody, niż pożytku. To też przeważnie ma się na baczności przed nimi i dąży do tego, by się od nich odgródzić. Czasem już sama barwa skóry czy piór, upodobniona do środowiska, zasłania je przed innymi. Niekiedy otacza się nieprzejrzystymi kłębami, jak mątwą. Najczęściej zaś czuwa instynkt obronny, by się zachował dystans między nim, a innymi. Zwierzę dąży co najmniej mimowiednie do te-

go, by jego ciało i ta część środowiska, w której, jak w łożysku rzeki, rozwija się jego życie, były odosobnione i bezpieczne przed kontaktem z innymi. To jest jego nietykalny rezerwat, enklawa, w której chce być samo. Na straży tej enklawy stoi dążność do dystansu, która każe jednostce uciekać, kryć się, skrętnie chować swe rzeczy, gniewać się obronnie lub nawet przewencyjnie napadać.

Człowiek zaś potrzebuje jeszcze szerszej enklawy: chce, żeby równie nietykalna, jak ciało, była jego dusza, ze wszystkimi jej przeżyciami. W oknach swego domu zapuszcza zasłony, ciało zakrywa ubraniem, duszę zaś przesłania, kładąc na swoje ruchy, na drgnięcia twarzy, na błyski oczu, powłokę przezornego powściągu, by inni nie mogli domyślać się i zgadywać nawet, co się dzieje w jego świadomości. Toteż każdy z nas jest dla każdego innego, jak okręt dla okrętu, spotkanego na bezmiarze wód: wymienić z nim może sygnały umowne, ale jego załoga nie przedostanie się nigdy na drugi pokład.

I człowiek nie tylko broni własnej enklawy, fizycznej i duchowej. Co więcej, nie chce wglądać i wkraczać w enklawę cudzą. Ma wstręt do styczności z nią. Nie lubi odsłaniać intymności swego ciała, ale też nie lubi spozstrzegać cudzej; a nawet wręcz brzydzi się tego. A jeszcze bardziej unika bezpośredniego kontaktu z cudzym ciałem; niemiły mu jest nawet świeży ślad cudzego ciepła na wygrzonym fotelu. Niemniej niemiłe bywają cudze wynurzenia, w których odsłaniają się głębokie zakątki czyjejs duszy. Czasem dążenie do dystansu jest tak natarczywe i ostre, że staje się manią tajemniczości, albo ucieczką przed ludźmi. Zwłaszcza jednostki introwersyjne, o rysach schizoidalnych, trwożliwie albo dumnie odgradzają się od innych ludzi. A ludzie pyszni nie chcą nawet, by ich porównywano i zestawiano w myśli z innymi. Po prostu chcą mieć w myśli innych pozycję odrębną, swoistą, niepodobną do niczyjej.

Tendencji do dystansu biegunowo przeciwna jest dążność towarzyska. W czystej swej postaci jest to potrzeba, by stykać się z innymi istotami. Tę potrzebę zaspakają nieraz obecność istoty, dalekiej od nas swymi cechami. Tak, są ludzie, którzy po przyjacielsku przestają z psami, czy końmi; i są psy, którym towarzystwo człowieka większą sprawia przyjemność, niż zabawa z innymi psami. Ale najczęściej przyjemnie jest znajdować się wśród istot do nas podobnych. Jest to przyjemność bezinteresowna, bo daje ją sama obecność drugiej istoty, nie zaś jakaś korzyść wtórna z tej obecności. Tę dążność bezinteresowną wspiera i wzmacnia często inna, jedna z tych, co swój cel osiągnąć mogą tylko w kontakcie z istotą podobną. Instynkt płciowy każe szukać partnera, a instynkt rodzicielski każe trzymać w bliskości dzieci. Potrzeba ciepła

każe się tulić do istot podobnych, a potrzeba bezpieczeństwa zbija nieraz w zwartą masę stado, na znak ostrzegawczy przodownika.

U człowieka dążność towarzyska jest też potrzebą kontaktu psychicznego. Chce się on dzielić z innymi nawet chłodnym przeświadczeniem: choćby uczony czy odkrywca. A jeszcze więcej potrzebuje nieraz, by inni wiedzieli o jego wzruszeniach i dążeniach, a nawet, by je dzielili. Radość, na przykład, wzmagą się, gdy inni radują się wspólnie; a smutek łagodzi się, gdy znajdzie współczucie. Potrzeba, by wydobyć przeżycie na jaw, by je innym pokazać słowem lub gestem, bywa tak silna, że skłania nieraz do niebezpiecznej nieroztropności. Ulegają jej nieraz przestępcy, zwierając się nieopatrznie ze swej zbrodni. A przeżycia, zdławione w duszy, biorą swój skromny rewanż na życiu choć przez to, że zostaną opowiedziane komuś. Zepchnięte natomiast przemocą w głębokie nurty świadomości, drażą sobie drogi ku powierzchni życia na różny sposób, nie oglądając się na to, że naruszają subtelną tkaninę przeżyć. Z tych przeżyć zdławionych powstają często zastoiny, niby wody bagienne, z których podnoszą się szkodliwe opary. I dlatego to psychoanaliza, metoda lecznicza, wydobywa na jaw i rozładowuje utajone i zastarzałe dążności i uczucia, dając im słowny odpływ w zwierzeniach przed lekarzem.

Potrzeba duchowego kontaktu jest dążnością ku temu by przezwyciężyć samotność. Są ludzie, którym ona ciąży bardzo i którzy próbują wciąż rzucać mosty zwodzone między sobą a innymi. Ta potrzeba wyładowuje się w przyjaźni i w miłości. Pierwsza jest bardziej powściągliwa i rozsądna niż druga. Liczy się z tym, że w świadomości są residua, którymi nie można się podzielić; i z góry rezygnuje z tego, by przesączać wszelką treść życia z jednej świadomości do drugiej. Rozumienia i rezonansu chce tylko w rzeczach istotnych i ważnych, — w tym co istotnymi, wyraźnymi rysami modeluje osobowość. Miłość natomiast mniej ma realizmu i trzeźwości. Instykt płciowy szuka już nie zbliżenia, lecz przeniknięcia cielesnego; za jego przewodem dążność do duchowego kontaktu chce również skruszyć całkowicie pancierz samotności. Z tego jej maksymalizmu rodzą się złudzenia, pełne największego czaru i rozczarowania, które nie zachowują względnej miary rzeczy ludzkich. Nie ma takiej transsubstancjacji, któraby dwie osobowości spajała w jedno. Człowiek jest wszak, niby wulkaniczna góra; można się po niej piąć wysoko, aż po łamaną linię krateru, ale tej linii przekroczyć niepodobna. Tu bowiem dążności asocjatywnej przeciwstawia się przekornie dążność do dystansu, która się wręcz lubuje w samotności.

3. Rozpoznawanie istot podobnych. U zwierząt niższych przeświadczenie, że mają przed sobą inne zwierzę, powstaje instyktownie i intuicyjnie. In-

stynktownie, bo gdy zwierzę czuje zapach swoisty, słyszy dźwięk lub widzi kształt pewien, to od razu wie, że ma przed sobą żywe stworzenie. Wie nie pojęciowo, w jasno zarysowanym sądzie, lecz jakoś bezpośrednio, tak iż od razu przyjmuje wobec niego pewną postawę. Tak, gdy pies czuje w pobliżu kuropatwy, od razu gotuje się do skoku napastniczego; jeśli zaś poczuje i zoczy sukę, gotuje się do zalotów. To poznanie jest jednocześnie intuicyjne, bo zjawia się jako całość nierozczłonkowana w jednym błysku świadomości. Nie ma tu ogniów pośrednich: zwierzę nie myśli ani nie rozumuje. W systemie nerwowym jest gotowa dyspozycja, która pozwala zwierzęciu rozpoznawać w sposób zaczątkowy inne zwierzęta.

Rozpoznanie to może przybierać różną postać. Zwierzę rozpoznaje najogólniej i zarazem najbardziej ogólnikowo, gdy po prostu przybiera postawę czujną wobec jakiejś bryły, samorzutnie ruchliwej. Gdyby umiało ubierać w słowa swe przeżycia, rzekłoby: „to jest zwierzę“. Gdzie natomiast na widok jakiegoś stworu gotuje się do napaści, to czuje, że jest to zwierzę — zdobycz. Jeśli zaś na ten widok sposobi się do ucieczki, to sądzi po swojemu, że to jest zwierzę — napastnik.

Każda istota żywa potrafi wyodrębnić istoty, podobne do niej gatunkowo. To nie znaczy, by musiała też mieć jasne poczucie, że sama jest podobna do nich. Przecież może ktoś umieć rozróżniać blondynów, nie myśląc o tym, że sam jest blondynem. W tym rozpoznawaniu istot, do niego podobnych, kieruje się zwierzę dwoma instynktami. Jeden, dążność towarzyska, każe mu szukać istot, gatunkowo do niego podobnych, i wskazuje mu nieomylnie takie istoty. Gdy się znajdzie pośród mu podobnych, odczuwa swoiste zadowolenie. Już układ nerwowy, zbudowany jest w ten sposób, że uwaga zwierzęcia zwraca się, wyborczo ku takim samym istotom, jak ono. Małe rybki, które się wylęgają z tej samej ikry, wchodzą od razu jak gdyby w pole magnetyczne instynktu towarzyskiego: trzymają się gromady i nie wychylają poza amplitudę sąsiedztwa, które im daje zadowolenie i poczucie bezpieczeństwa. Podobnie rzecz się ma w stadzie owiec, czy w tabunie koni. Jakoś przyjemniej i różniej jest szczypać trawę, mając na oczach inne owce czy konie i będąc na ich oczach. Ale warunki życia mogą odebrać temu instynktowi ostrą selektywność. Wystarczy pod jedną kurę położyć jaja kurze i kaczce, a wykluta młodzież obejmie swą potrzebą towarzyską bez różnicy kaczęta i kurczęta.

W pewnej chwili rozwoju przychodzi z pomocą drugi instynkt, pociąg płciowy. Kogut, który wyrósł we wspólnocie towarzyskiej z kaczkami, nie będzie się do nich umizgał, skoro przyjdzie czas dojrzałości; wypatrzy sobie przy-

jaciółki choćby poza stadkiem rodzinnym. Tę siłę elementarną bowiem budzić i zaspakajać może w każdym zwierzęciu tylko istota tego samego gatunku. Toteż probierzem wręcz tego, czy dane istoty należą do jednego gatunku, jest to właśnie, czy się mogą rozradzać między sobą. Widzimy to jasno na przykładzie psów, chociażby. Skore do wszelkiego mezaliansu w swoim świecie, nie doznają żadnych pokus wobec kóz, świń, czy owiec. Aby ożywiło się pragnienie seksualne, trzeba całego zespołu bodźców, które daje tylko istota, dostatecznie podobna do danej. Jedynie w wyjątkowych przypadkach instynkt płciowy sięga poza ten krąg.

Już w układzie nerwowym dane są warunki, by rozpoznawać osobniki gatunkowo podobne. Później rozwija się ta instynktowna gotowość, zwłaszcza u tych zwierząt, które się rodzą bezradne i potrzebują opieki. Szczenię, na przykład, żyje przez pierwsze tygodnie, przytulone do matczynego ciała. Przez ten kontakt niemal nieprzerwany w świadomości małego kształtuje się bogaty w treść obraz istoty, do której ono samo będzie kiedyś podobne. Jednocześnie w styczności z bliźniaczym rodzeństwem narasta drugi obraz, rówieśnika, który się kiedyś stopi z tamtym.

Podobnie u dziecka. Jeszcze bardziej bezradne, pozostaje stale pod opieką matki czy piastunki. Ta jest tylko głęboka różnica, że dziecko z czasem czuć i rozumieć zaczyna, iż samo jest podobne do tych, którzy roztaczają nad nim opiekę. Uczy się, mianowicie, dostrzegać, że ma ciało takie, jak oni, i że takimi, jak oni, organami widzi, słyszy, wacha, smakuje. A przyswajając sobie ich mowę, niemal namacalnie zdaje się sięgać do ich przeżyć. Z mimiki ich i gestów również zda się odczytywać ich myśli i wzruszenia.

4. Kontakt bezpośredni. A styka się z rzeczą R, gdy ją postrzega jakimkolwiek, choćby jednym, zmysłem. Rzecz R jest wtedy obecna dla A. Im większą ilość wyglądów danej rzeczy obejmuje A swym postrzeżeniem, tym pełniej obecna jest ona dla niego.

Rzeczy martwe nie czują i nie wiedzą, że je ktoś postrzega i nie zmieniają zachowania, znalazłszy się w zasięgu czyjejś obserwacji. Stary zegar, na przykład, jednakowo chodzi i bije na oczach ludzi i w samotności.

Istota żywa również może być obserwowana, nie wiedząc o tym. A postrzega B, lecz B nie postrzega A; choćby: A obserwuje go przez dalekosiężną lornetkę. Bywa też i tak, że A postrzega B, ten zaś postrzega A i że obaj nie wiedzą, iż są postrzegani. Pies wywęszył zajacą, ten zaś słyszy już cichy szmer kroków psa. Każdy z nich obecny jest dla drugiego, lecz żaden z nich nie wie, że jest obecny. Albo też znowu: A widzi, że B go postrzega B zaś nie

wie, że jest postrzegany. Wystarczy, że A ma lornetkę i widzi wyraźnie, w którą stronę patrzy B, i że B patrzy gołym okiem. Wreszcie w granicznym przypadku obaj postrzegają, że są postrzegani. Teraz są jak dwa równoległe do siebie zwierciadła, które się odbijają wzajemnie.

O tym, że ktoś mnie postrzega, informuje mnie najczęściej wzrok, główny badacz rzeczy odległych. Informuje też dotyk: czują się wzajemnie dwie ręce w uścisku. Natomiast drugi zmysł, który sięga w dal, słuch, nie daje bezpośrednio wiadomości, że nas ktoś postrzega. Nie możemy słyszeć, że ktoś nas słyszy, ani tym bardziej słyszeć, że nas ktoś widzi. Dopiero z treści tego, co usłyszymy, możemy wnioskować, że mówiący nas postrzega.

Dostrzegłszy B, A obserwuje go z pewnym napięciem badawczym, instynktownie bowiem chce wiedzieć, jak się tamtem zachowa wobec niego. Nieraz krótka jest ta ciekawość: okazuje się, że widok tego B nie budzi żadnych impulsów ruchowych i A odwraca odeń uwagę. Ale bywa też, że ciekawość się wzmacnia i że A nie tylko przypatruje się B, lecz go dotyka i obwąchuje: zwyczajna rzecz, gdy zwierzę dotyka twór żywy. W toku tej obserwacji narastają impulsy ruchowe i modeluje się postawa wyjściowa przygotowującej się reakcji. Podobnie zachowuje się i B.

Już tok tej akcji badawczej nazwać możnaby kontaktem, A i B bowiem stykają się ze sobą, postrzegając się wzajemnie. Co więcej, wpływają wzajemnie na zachowanie swoje, każdy z nich bowiem na widok drugiego i jego ledwie dostrzegalnych drgnień, odpowiada takim czy innym ledwie uchwytnym sprężeniem mięśni. Rzekłbyś: dwie cewki indukcyjne, które wciąż budzą wzajemnie prądy. Tak bywa nieraz, że pies i kot długo przyglądają się sobie, srożą się i jeżą, nim któreś z nich pierzchnie lub napadnie. I może się zdarzyć, że w ogóle nie dojdzie do żadnej akcji, gdy partnerzy jakoś się przekonają, że nie ma widoków, by wzbierająca w nich chęć mogła osiągnąć swój cel. Tak na przykład, zimne spojrzenie kobiety studzi napastliwą gotowość mężczyzny.

Albo też od tego kontaktu na odległość dochodzi do działania z jednej lub z obu stron. Dwaj ulicznicy, którzy patrzyli na siebie zaczepnie, wybuchają potokiem obelg; indyk, napuszywszy się, sunie zalotnie ku połowicy; pies chwytą zębami kota, a ten broni się uderzeniami pazurów. Partnerzy zaczęli realizować swój zamiar, który się kształtował w fazie badawczej. Aby go doprowadzić do końca, nie potrzebują nieraz dochodzić do tego, by się stykać cieleśnie: naszemu ulicznikowi wystarcza, gdy drugi usłyszy wylane nań obelgi. Ale psu nie wystarcza, żeby kot usłyszał jego wrogie szczekanie;

on chce w kociej skórze zatopić swe kły. Tu dochodzi do kontaktu, dosłownie bezpośredniego: skóra styka się ze skórą, a kły przedostają się nawet pod skórę.

Jaki będzie ten kontakt aktywny, złożony z działań, to zależy od wzruszeń i dążeń, które do niego prowadzą. Te, których doznaje jeden partner, nazwiemy **konstelacją emocjonalną kontaktu**; obie konstelacje razem wzięte, będą jego **bazą emocjonalną**. Ta konstelacja może być bardzo różnorodna: raz jest jedną prostą dążnością, kiedy indziej splotem uczuć powikłanych, a nawet sprzecznych. Brutalnie prosta jest, na przykład, chuć płciowa; z różnych elementów, subtelnie powiązanych, składa się zazdrosna miłość. Przy tym konstelacje partnerów mogą być dobrane bądź tak, że harmonizują ze sobą i utrwalają kontakt, bądź też tak, że prowadzą do szybkiego zerwania. Napastliwość nie wiąże się w trwałą całość ze strachem u drugiego partnera, strach bowiem popchnie do ucieczki. Ale dwie postawy napastnicze szcepiają się w walce, która może być kontaktem względnie trwałym, bo partnerzy szukają się wzajemnie i każdy z nich nie chce wypuścić przeciwnika ze swej mocy. A jeszcze trwalszy kontakt daje, powiedzmy, miłość matki i miłość dziecka: uczucia te, by tak rzec, doskonale przystają do siebie, z dużą siłą szepną i dają kontaktowi równowagę trwałą.

W kontakcie partnerzy z konieczności odsłaniają swój rezerwat i przenikają do cudzego. Jak dalece się to dzieje, to znowu zależy od konstelacji uczuć i od tych czterech dążeń, które tkwić mogą w tych uczuciach. Dążność do dystansu ma dwojaką postać. Każę ochraniać własny rezerwat i unikać wglądu w cudzy. Człowiek cywilizowany czuje zakłopotanie, gdy obcy zobaczy bosą jego stopę; a gdy sam ujrzy czyjaś, mdli go obrzydzenie. Z drugiej strony zaś dążność towarzyska też objawia się dwojako: ekshibuje swe ciało i swe przeżycia oraz przeniknąć chce ciało i duszę partnera. Te dążności w różnych wymiarach mieszczą się w uczuciach. Życzliwość interesuje się żywo cudzym „ja“, nie ukazuje zaś swojego. Miłość seksualna gotowa, zdawałoby się, bez reszty odsłonić swoje „ja“ i pochłonąć cudze. Skrucza znowu zaledwie ośmiela się spojrzeć na cudze „ja“, swoje zaś odsłania w pokorze. Część zaś nie śmie wdzierać się do cudzego wnętrza, a swoim nawet nie myśli zajmować uwagi partnera. Obrazowo tedy rzec można, że w kontakcie stykają się partnerzy to głęboko, to powierzchownie. Ich „ja“, to główne elementy, które wchodzą do wspólnego świata, jaki powstaje w każdym kontakcie. Świat wspólny kontaktu składa się ze wszystkich rzeczy, ku którym kierują uwagę te uczucia i dążności, co skłaniają do kontaktu. Miłość, która chce do głębi przeniknąć cudzą duszę, traci całkiem z oczu bezpośrednio ota-

czające środowisko. Potrzeba styczności biesiadnej widzi nie tylko towarzyszy stołu, lecz i sam stół, z zastawą i potrawami. Natomiast dążność do wspólnego jakiegoś dzieła ledwie dostrzega partnera poza tworzywem.

5. Różne kontakty. Potrzeba dystansu słusznie broni jednostkę przed innymi. Kontakt bowiem nieraz bywa wręcz niebezpieczny dla życia. Bywa wszak, że zwierzę szuka innego nie dla towarzystwa, lecz dlatego po prostu, by je pożreć. Nie dba wtedy o postrzeganie wzajemne; raczej chce zaskoczyć swego „partnera“ tak, by się stał ofiarą, nim się przygotuje do obrony. Czai się i sunie bez szelestu tygrys do antylopy; naśladuje jego giętką krwiożerczość kot, gdy podchodzi do myszy. Tu najbardziej ostro zarysowuje się ciasnota świata: musi zginąć jeden twór żywy, by inny mógł go schrupać.

Ale nieraz wystarcza, by uczynić luz, samo zniszczenie życia. Samiec po prostu zagryza swego rywala; bezinteresownie zostawia martwego innym, bardziej zabiegliwym stworzeniom. Myśliwy zabija kłusownika, po prostu, by mu nie psuł polowania. Nie dba o styczność; dość, by się ten zbliżył do niego na strzał. Kiedy indziej znówu dążność nieprzyjazna chce tylko zadać cierpienie. W porywie zemsty pies kąsa drugiego psa, który mu odebrał smaczny ochłap: wdarł się w jego enklawę, zacieśnił i tak już ciasną szerz jego życia.

Tym kontaktom nieprzyjaznym przeciwstawia się krańcowo kontakt miłośny dwóch płci. Drugi partner nie zacieśnia tu świata, lecz wręcz przeciwnie, go rozszerza. Dzięki niemu właśnie staje się możliwa ta rozkosz, która za chwilę wielkim, ostatecznym, choć beztreściwym sensem wypełni świat. Nie zniszczyć, lecz zachować, objąć najściślej chce partner swego partnera; chce, by tamtem czuł jego objęcie i dzielił jego przeżycia: nie rozedrgają w pełni wszystkie struny orgazmu, jeśli własnych przeżyć nie podsyci euforia drugiej istoty. Instynkt samozachowawczy rozciąga się tu niejako na tę drugą istotę. Tendencje obronne czuwają nad nią, a obejmujący uścisk nie tylko z nią zespala, lecz i ochrania ją.

Najbardziej bezpośredni i osobisty to kontakt. Środowisko niemal ginie z oczu partnerów i świat cały na chwilę zdaje się składać z dwóch ciał. Już ludzie, miłośnie w siebie zapatrzeni, zdają się być wyjęci ze świata, który ich otacza. W tej chwili nie potrzebują z niego nic. Dość, że patrzą na siebie, że chwytają uśmiech na drugiej twarzy, że wzrokiem muskają usta, że z oczu, które mają naprzeciw, idzie na nich bezgłośny szept błogosławieństwa i radości z cudzego istnienia. Podobnie, bez słów umie być zapatrzona w dziecko miłość rodzicielska: nie tykając cieleśnie, wchłania oczami całe istnienie umi-

łowane. W widoczny sposób nie dzieje się nic w takim kontakcie, ale dusze ładują się jak akumulatory, tendencjami, które będą później spoiwem i impulsem niejednego działania.

W kontaktach, o których była mowa dotychczas, zarówno przyjaznych, jak nieprzyjaznych, wzrok jednego partnera zatrzymywał się wyraźnie i świadomie na drugim. I działanie, jeśli do niego dochodziło, tego miało za przedmiot, a więc za tworzywo. Ze względu na ten rys wspólny nazwiemy takie kontakty personalnymi. Tworzą one rozległą skalę odpowiednio do tego, jak dalece w intencji kontaktu zarysowuje się obraz partnera. Tygrys chce się zetknąć z jakąkolwiek antylopą, która nasyci jego głód, a nawet z jakimkolwiek zwierzęciem, które będzie smacznym kąskiem. Podobnie, bywalec salonów, zaspokoi się rozmową z jakimkolwiek, dobrze dobranym, partnerem. Miłość seksualna natomiast czy rodzicielska potrzebuje tego określonego, nie zaś żadnego innego partnera. Tendencja, która skłania do kontaktu, różnie wyznacza swój krąg osób.

Ale istota żywa, a zwłaszcza człowiek, może szukać innej istoty, nie dla niej samej, lecz dla jakiegoś celu poza nią. Kto chce długą i ciężką piłą ściąć drzewo, ten szuka pomocy w innym człowieku. To, że ten drugi znajdzie się w jego pobliżu, nie raduje go, ani nie drażni. Zastąpiłby go urządzeniem mechanicznym, gdyby się to dało. Tymczasem operuje nim jako środkiem. W świecie ich kontaktu centralne miejsce ma tworzywo, z którego powstanie dzieło wspólne. Na nim spoczywa przede wszystkim uwaga partnerów, zwłaszcza, jeśli obu jednakowo zależy na nim. Drugi partner pozostaje na obrzeżu uwagi, jako jeden z czynników, niezbędnych do wspólnego dzieła. Kontakty tego typu nazwiemy rzeczowymi. W taką styczność wchodzić ze sobą ludzie, ilekroć załatwiają ze sobą jakąś wspólną sprawę. Tak się styka urzędnik z podatnikiem przy okienku biurowym, tak kupiec z klientem. Kontakt jest wyraźnie i ściśle zrelatywizowany i ograniczony, powierzchnia styczności sprowadzona do minimum już z samej intencji kontaktu. A często do wyznaczenia jej granic pomaga norma, która wskazuje wyraźnie minimum działań, niezbędnych, by załatwić daną sprawę. I nieraz to bywa, że ludzie szukają sposobu, by załatwić wspólną sprawę, unikając zetknięcia. Oto, na przykład, u ludów względnie pierwotnych wymienia się towary w ten sposób, że A na przyjętym zwyczajowo miejscu składa swój towar, skąd B zabiera go później, zostawiając wzamian swój towar, w ilości i gatunku znów oznaczonych przez zwyczaj. Tu z kontaktu bezpośredniego zostaje to tylko, że krzywe ruchu partnerów, choć w różnym czasie, przechodzą przez to samo miejsce, i że ręce ich dotykają tej samej rzeczy.

Czynnik indywidualny, nie mniej, może wchodzić w grę na różne sposoby w kontakcie rzeczowym. A musi mieć zaufanie do B, jeśli ma pożyczyć mu pieniądze lub użyć jakiejś rzeczy; musi cenić jego uzdolnienia, jeśli ma podjąć wspólne dzieło; a już wręcz musi mieć do niego osobistą sympatię, by podjąć z nim wycieczkę kajakiem. I rola tego czynnika osobistego w kontakcie może być tak znaczną, że kontakt przybiera postać mieszaną, w której nie wiedzieć, co jest ważniejsze, osoba partnera czy wspólne dzieło.

6. Obcowanie i współzycie. Kontakt społeczny nie jest zazwyczaj błyskawicznym zbliżeniem jednej chwili. Najbardziej przelotny gniew psa na innego psa, intruza, wybucha wprawdzie w jednym kąśnięciu, ale rozładowuje się jeszcze później w pomrukach i nieprzyjaznych spojrzeniach. Zakochani gotowi są patrzeć na siebie długie godziny; a zaciętrzewieni dyskutanci mogą ze sobą walczyć na słowa choćby całą noc. W jednych przypadkach to, jak długo trwa kontakt, zależy tylko od impulsów, które skłaniają do niego; w innych, gdzie chodzi o wspólne dzieło, akcja wiąże partnerów, póki nie zostanie ukształtowane tworzywo.

Gdy dwie jednostki stykają się ze sobą bez przerwy przez czas dłuższy, mówimy, że obcują ze sobą. Ale nie określa mowa potoczna dokładnie, jak długi musi być kontakt, by się stał obcowaniem. Ma ona na myśli raczej przedziały czasu znaczne. Zawaha się co do tego, czy obcowali ze sobą ludzie, którzy rozmawiali ze sobą pół godziny, lecz już nie będzie miała wątpliwości, że ci sami obcowali ze sobą na całodzienną wycieczkę. Często zaś mowa potoczna ma na myśli nie jeden kontakt nieprzerwany, lecz szereg kontaktów między tymi samymi partnerami. W tym znaczeniu A obcuje z B, jeśli się z nim styka stale, powrotnie, w niezbyt wielkich odstępach czasu. A więc, na przykład, nauczyciel z uczniami, szef z podwładnymi.

Jeśli kontakty między dwiema jednostkami mają charakter osobisty, nie zaś rzeczowy, lub co najmniej, jeśli kontakty osobiste wiążą się ściśle z rzeczowymi, to mówi się, że dane jednostki współzycją ze sobą. Tak więc, dwaj robotnicy, nawet zatrudnieni przy tej samej maszynie, tylko obcują — nie zaś współzycją, jeśli nie ma między nimi rozmów o życiu prywatnym, o wypadkach bieżących, ogólnie: o sprawach, nie związanych z pracą. Współzycją natomiast, jeśli spożywają razem posiłki, przychodzą razem do pracy i razem wracają do domu, urządzają wspólne wycieczki i biesiady.

Szczególnie ściśle, bywa współzycie, gdy dane osoby mieszkają pod jednym dachem i wspólnie gospodarują, to znaczy: wspólnie troszczą się o zaspokojenie potrzeb elementarnych. Wspólnota mieszkania i stołu zbliża z natury

rzeczy, bo zazębia enklawy i stwarza większy lub mniejszy wspólny rezerwat, w stosunku do którego inni ludzie są obcy. Kontakty są tu bardzo częste i łąbią w partnerach, niepostrzeżenie dla nich, takie lub inne uczucia, które wzmachają siłę szcpepną. Niezależnie od innych uczuć z częstego obcowania wyrasta nawyk, który ma tę moc, że wiąże nawet tam, gdzie nie ma uczuć przyjaznych, co więcej, gdzie są wręcz nieprzyjazne.

W obcowaniu i współzyciu dobrowolnym baza emocjonalna jest z natury rzeczy trwała: inaczej bowiem nie powtarzałyby się kontakty. Nie mniej, baza ta może nie być jednolita. Obok impulsów, skłaniających do kontaktu, działają nieraz takie, które odpychają partnerów od siebie. Ale póki przeważają pierwsze, trwa równowaga, choć może jeden z partnerów lub obaj czują przymus, obcując ze sobą. Ze ambiwalencja uczuć podkopywała równowagę obcowania, to ujawnia się nieraz dopiero wtedy, gdy impuls nieprzyjazny wreszcie jakś przełamie więzy, lub gdy zelżeje nacisk, który pokonywał siłę dysolwującą. Czasem zauważamy, jak męczący był kontakt, gdy go przerwie jakiś pomysłny przypadek: gadatliwy towarzysz podróży otrzymuje telegram i wysiada, ku naszej uldze.

Ale obcować lub współżyć mogą ludzie niekoniecznie z rozmyślnego zamiaru. Nieraz siłą zewnętrznego faktu znajdują się blisko siebie. I bywa nawet, że kontakt jest im nie miły. Choćby mieszkańcy pensjonatu muszą nieraz sąsiadować przy stole z osobą im nieprzyjemną. Wtedy zamykają, jak tylko można, swą enklawę i z narzuconym partnerem obcują, lecz nie współżyją: nie ukazują mu dobrowolnie swych przeżyć i nie dzielą się nimi.

Przyczyna partnerów związane są w obcowaniu dość spójnie. Rozwijają się one, wciąż oddziałując wzajemnie. Każdy jest dla drugiego widzem, który postrzeża i ocenia zachowanie; i każdy surowiej, niż w samotności, podciąga swoje zachowanie pod strychulec norm własnych i zbiorowych. Każdy też swym słowem czy ruchem budzi u drugiego reakcje, widoczne lub ukryte. Powsaje wspólny świat kontaktu, do którego należą też zdarzenia, postrzegane wspólnie. Tworzy się stąd wątek wspólnych dziejów.

Wyodrębniają się ostro i wyraźnie te wspólne dzieje tam, gdzie działania partnerów wiążą się w sensowną całość. Oto, powiedzmy, A i B liczą razem. A wypowiada liczby nieparzyste, B parzyste, skąd powstaje mówiony ciąg liczb naturalnych, wytwór zbiorowy, dzieło wspólne, ponadosobowe w tym znaczeniu, że jego elementy stworzyło działanie nie jednej, lecz dwóch współdziałających osób. W tej całości spójnej dwojakie jest powiązanie. Każda wypowiedź liczby związana jest przyczynowo z wypowiedziami, sąsiednimi w czasie; a każda wypowiedziana liczba pozostaje w określonym stosunku

co do wielkości z liczbami z wypowiedzi sąsiednich, jest więc związana z innymi co do treści, a więc wewnętrznie, sensownie. Między przeżyciami obu osób zachodzi tu związek swoisty. Różni się on zasadniczo, na przykład, od działania wzajemnego dwóch ciał w polu grawitacyjnym. Ciała, ciągnące ku sobie nie wiedzą jedno o drugim; jednostki, które obcuja ze sobą, wiedzą o sobie i z zachowania widzialnego domyślają się przeżyć partnera. Na widok cudzych ruchów budzi się w nas ciąg przeżyć w cudzysłowie „urojenia“, niby wymyślona fabuła opowiadania, którą w wyobraźni „wkładamy“ w cudzą świadomość. Dzieje się to samorzutnie, nierozmyślnie, tak skrótowo, że się nam wydaje, że po prostu wglądamy w przeżycie partnera. W tym wejrzeniu bierze udział cały nasz aparat ruchowy, przedstawione przeżycia bowiem mają w nas ledwie dostrzegalny oddźwięk cielesny. Niedostrzegalnie zaciskamy zęby w cudzym gniewie; drobne drżenie przenika nasze mięśnie w cudzym strachu; mgła wzruszenia przesłania nam oczy w cudzym smutku. I zdaje się, że czujemy rytm cudzego serca, gdy naprawdę postrzegamy rytm własnego.

Gdy takie są nasze doznania, mówi się, że się wczuwamy w drugą osobę. To znaczy, że w swoisty sposób bierzemy udział w jej przeżyciach. Mówi się też, że rozumiemy jej przeżycia, innymi słowy, że się ich domyślamy trafnie. Ale rozumieć przeżycia można podobno w innym jeszcze znaczeniu. Podobno między przeżyciami zachodzi związek wewnętrzny, jaki nie może zachodzić między zjawiskami fizycznymi; jest to związek między treścią dwóch przeżyć, taki, iż ten, kto ich doznaje, czuje czy rozumie, iż z jednego wypływa drugie. Ma on poczucie, że z natury rzeczy, z treści pierwszego przeżycia musiało powstać drugie. Naturalne jest, że kto otrzymał niesłuszną nagane, jest oburzony; że pragnie zemsty ten, kto się gniewa za doznaną krzywdę. Podobnie, gdy ktoś liczy, wewnętrzny, zrozumiały związek zachodzi pomiędzy myślą „dwa“, a myślą „trzy“. Otóż i widz rozumie czyjeś przeżycia, gdy, wczuwając się w nie, chwytą związek wewnętrzny między nimi. Dopiero, rozumiejąc je, widz wczuwa się w nie dokładnie; jeśli ich nie rozumie, może o nich dokładnie wiedzieć, lecz się w nie nie wczuwa, „nie wciela“ ich nawet w cudzysłowie do swoich przeżyć. Tak, tchórz nie rozumie śmiałka, a skąpiec rozrzutnika.

7. Świadomość zbiorowa. To, że przeżycia dwóch osób mogą tworzyć całość sensowną, nie świadczy jeszcze, by powstawały, jak chcą niektórzy, całokształty przeżyć, tajemniczo jakoś unoszące się ponad przeżyciami indywidualnymi. Tylko technika materialna umie konstruować z wielu rzeczy jedną tak, że całość jest nierozdzielna. Dwie sztaby, na przykład, można bez widzialnego szwu spojć w jedno. Ale dwie jednostki nigdy się nie gubią bez śladu

w kontakcie ze sobą. Wę wszelką styczność wchodzą osamotnione na zawsze i ostatecznie. Nawet miłosne zespolenie ciał nie zaciera granicy między ich powłokami, a tym bardziej między tym, co się dzieje w dwóch świadomościach.

Nie ma przeżyć, tożsamyh choćby dla dwóch osób. Każde wszak musi mieć punkt zaczepienia w jednym wyłącznie ciele i w jednym „ja“, i zmienić tego punktu nie może. Nie ma więc przeżyć zbiorowych. To znaczy: takich, którychby doznawały dwie osoby jako jedna całość; takich, dla których dwuosobowa całość byłaby tym „ja“, co czegoś doznaje. Ta całość nie ma własnego ciała, „ja“ zaś zawsze związane jest z ciałem.

Ale osoby, które obcuja ze sobą, doznają nieraz jednocześnie przeżyć podobnych. Oto, powiedzmy, wypowiadają razem ciąg liczb naturalnych. Przeżycia każda ma swoje; ale treść tych przeżyć jest taka sama, myślą bowiem o tym samym ciągu. Oto znowu podoba się im ten sam krajobraz; oto czule wspominają tę samą chatę rodzinną; albo znowu decydują poprawić dach wspólnego domu. Myśli, wzruszenia, dążenia, są tu takie same w określonym przedziale czasu. Można je wydzielić myślą widza, zebrać w jedno i nazwać świadomością zbiorową tych dwóch osób, jako jednego zespołu. Ta „świadomość“, to nie swoiste, od innych wyodrębnione, pole przeżyć; to po prostu zbiór przeżyć podobnych u dwóch lub więcej osób.

To podobieństwo przeżyć jest ważne dla obcowania społecznego. Jednakowe przeświadczenia odsłaniają przed partnerami te same rzeczy w scenerii ich kontaktu i jednakowo je dopełniają, dekoracjami urojenia. A tym samym tworzą świat wspólny ich kontaktu. Jednakowe wzruszenia na ten sam ton stroją dusze, a przez to pozwalają łatwiej wczuwać się w cudze przeżycia i współczuć z nimi. Jednakowe dążenia usposabiają do działań wspólnych lub zgodnych, tworzących jedno dzieło. Z podobnych wzruszeń i dążeń formują się podobne hierarchie wartości; przez dzieła wspólne zaś ujednostajnia się środowisko, co z kolei wpływa na zbiorowy styl życia. Im tedy bogatsza świadomość zbiorowa, tym więcej spoiw w obcowaniu i tym bardziej harmonijny kontakt między partnerami.

Przeżycia partnerów mogą swą treścią obejmować ich samych jako jedną całość, spojona kontaktem; inaczej, jako jednę zespół. Różne myśli wzruszenia, dążenia, mogą dotyczyć tego zespołu. I każdy z partnerów może doznawać innych przeżyć na myśl o tym samym zespole. Oto powiedzmy, w duecie z sopranem tenor cieszy się doskonałą harmonią głosów, sopran zaś z niezadowolaniem myśli o tym, jak wyglądają razem dla widza. Przeżycia ich są różne, choć tyczą tego samego przedmiotu. Mimo tę treść różną, można je objąć

jedną myślą i nazwać łącznie samowiedzą zespołu. Dlatego samowiedzą, że zespół jest przedmiotem myśli jego partnerów. Ale można też zwięzić znaczenie tego terminu, oznaczając nim tylko przeżycia zupełnie zgodne co do treści. W naszym duecie, na przykład, tylko sam obraz zespołu w duszach partnerów, bez ocen odmiennych.

Zbiór przeżyć podobnych, które się składają na samowiedzę, bywa nieraz bardzo obfity. Ważną rzeczą jest to, jak partnerzy widzą zespół, co uważają za spoiwo i jak odtwarzają we wspomnieniu dzieje wspólne zespołu; przy tym przeświadczenia urojone mają dla zespołu wagę niemniejszą, niż słuszne. Nieraz wszak więcej znaczy to, jak się rzeczy wydają, niż to, jakimi są. Wśród przeżyć samowiednych zespołu szczególną pozycję mają przeżycia emocjonalne, w których partnerzy oceniają zespół i wytyczają jego cele. Te przeżycia warto wyodrębnić mianem „samopoczucie zbiorowe“. Jest to ważny moment w strukturze zespołu; wyznacza między innymi, jak dalece stała jest w nim równowaga. Inaczej trzymają się zespołu partnerzy, którzy są z niego dumni, niż tacy, którzy się go wstydzą.

Do przeżyć samowiednych zespołu nie należą przeżycia partnerów, w których ci przedstawiają sobie swoją indywidualną pozycję w zespole. Te przeżycia tworzą samopoczucie jednostki w danym zespole. Oto skrzypek czuje się dumny z tego, jak jego zespół wykonuje swe dzieło: to należy do samopoczucia zbiorowego. A jednocześnie czuje się on pokrzywdzony niską gażą, co już jest samopoczuciem indywidualnym. Te dwa samopoczucia pozostają w ścisłym związku i wywodzą się ze siebie wzajemnie. Dodatkowo oceniając zespół, już tym samym czuje partner dążność, by w nim pozostać; oceniając ujemnie, pragnie się z niego wycofać. Czasem reaguje jednostka ambiwalentnie: pod jednym względem ceni swój zespół i czuje się w nim dobrze, pod innym ma do niego wstręt i radaby go opuścić. Choćby: czasem pracuje się z kimś sprawnie, a obcować z nim nieprzyjemnie.

Gdy się stykają tylko dwie osoby, rzadko powstaje samowiedza zbiorowa. Mając przed sobą jednego partnera człowiek czuje raczej, że ma drugą osobę naprzeciw siebie, niż widzi siebie w zespole z nią. Zwłaszcza tam, gdzie nie ma wspólnego dzieła. Jeśli zaś ono jest, to może się łatwo przyczynić do tego, iż powstanie myśl o obu, jako o jednej całości sprawczej. Ale w każdym razie obraz zespołu dwóch osób nie jest tak wyraźnie plastyczny, jak zespołu większego. W zespole dwóch osób partner nie widzi naocznie zbioru ludzi, lecz tylko jedną osobę: samego siebie chyba w lustrzanym odbiciu lub w myśli, która go ukazuje mniej uchwytnie, niż obraz wzrokowy. Dopiero w kontakcie trzech osób każdy partner ma przed sobą zbiór osób, nie zaś jedną oso-

bę. Zespół nie zależy tu wyłącznie od jego udziału. Pozostanie, choć on wyjdzie z kontaktu. Tym samym zespół się uniezależnia w swym istnieniu od poszczególnego partnera, przeciwstawia się mu na podobieństwo rzeczy materialnej, która istnieje również niezależnie od tego, czy się z nią styka ktokolwiek.

8. Samowiedza zbiorowa. Przy kontakcie społecznym nie zawsze powstaje samowiedza zbiorowa. Dążność do dystansu czuwa nad tym, by w myśli naszej druga osoba nie wkraczała zbyt daleko w naszą enklawę. I nawet stykając się z kimś, nieraz nie chcemy przedstawiać jego i siebie w jednym chwycie myśli, jako jedną całość, podobnie zresztą, jak nie z każdym, z kim godzimy się rozmawiać, pozwolimy się fotografować.

Oto, powiedzmy A i B grają w szachy. Dla widza tworzą oni zespół, bo oddziałują na siebie wzajemnie. Ale możliwe, że A nie chce jednym tchem myśleć o B i o sobie. Powie: „Ja gram z B w szachy“; ale nie zechce powiedzieć: „My gramy“. Wobec tej postawy naszego A nie ma w zespole tym samowiedzy zbiorowej, stanu symetrycznego u obu partnerów. W oczach A kontakt lokalizuje się niejako w ząbających się działaniach, nie sprzęga natomiast samych osób. A chce tu być całkowicie samym sobą i ani cząstki swego „ja“ nie chce włożyć w słowo „my“.

To „my“ jest jarzmem lekkim lub ciężkim, pod które „ja“ zawsze musi pochylić nieco głowę. Rezygnujemy z cząstki naszej samoistności gubimy jak gdyby na chwilę nasze „ja“, gdy je przesłaniamy słowem „my“. Mówiąc „my“, A obejmuje myślą dokładnie na raz siebie i B, podobnie jak smyczek dokładnie naraz dotyka dwóch strun, z których wydobywa akord. Albo przebiega błyskawicznie myślą od jednej osoby do drugiej, czując jasno, że czyni to w porządku jakimkolwiek. Mówiąc lub myśląc „my“. A odsuwa wszelką myśl o tym, co go od B dzieli i wyodrębnia, i zatrzymuje się wyłącznie na tym, co go z nim wiąże. To wspólne, to cząstka jego enklawy odsłonięta, która staje się powierzchnią styczności. Obrazowo, oczywista, bo dokładnie biorąc powierzchnią tą jest szachownica, na której powstaje wspólne dzieło. Na tę sprawę wspólną zrelatywizowane jest to „my“. I nie ma takiego kontaktu, w którym „my“ nie byłoby zrelatywizowane. W miłości nawet, gdzie jednostki najbardziej żarliwie pragną zniknąć we wspólnym „my“ i gdzie powierzchnia styczności jest ogromna, ma ona przecież swoje granice.

Ta baza, relatywizująca „my“, różnie jest rozpięta w różnych kontaktach. I nie zawsze jednakowo zdajemy z niej sobie sprawę. Gdzie A oddaje się pod jarzmo tego słowa z oporem, tam zakreśla ją skrupulatnie i myśli o niej czujnie, bo to jest granica, poza którą nie chce dopuszczać swego partnera. Gdy-

by B zechciał powiedzieć: „gramy w szachy i pijemy kawę“, A uzna to za poufałość i poprawi: „gramy razem, ale pije każdy z osobna“; a może nawet przeźornie wybierze herbatę. Jeśli natomiast A wchodzi w kontakt bez sprzeciwu wewnętrznego, lub wręcz skwapliwie i wylewnie, to nie dba o relatywizację. Tak w przyjacielskiej pogawędce gubią się nieraz granice kontaktu, a jeszcze bardziej rozlewne są w wesołej biesiadzie. Różną temperaturę miewa kontakt społeczny: odpowiednio zaś do temperatury ostre lub miękkie są kontury naszego „ja“.

Słowo „my“, zgodnie użyte przez obu partnerów kontaktu, jest świadectwem i wyrazem samowiedzy zbiorowej. W szerszym znaczeniu składa się na tę samowiedzę cała treść, jaką w to słowo wkładają obaj partnerzy; w węższym tylko treść, taka sama u obu. Dla struktury zespołu ważna jest i jedna i druga. Pierwsza, bo wyznacza, jak się zachowywać będzie w obcowaniu każdego z partnerów z osobna; druga, bo określa, co gotowi będą czynić w porozumieniu. Kto używa wyrazu „my“, ten daje jasno poznać, że zespół, do którego wchodzi w granicach relatywizacji, uważa za przedmiot swoisty, różny od osób, które go tworzą. I gdy obie osoby mówią: „my“, zespół jest w stanie równowagi, w granicach relatywizacji. Staje się on istotnie swoistym czynnikiem praktyki życiowej. Bywa, mianowicie, nieraz, że my razem jesteśmy weseśli, choć każdy z osobna byłby smutny; albo, że my jesteśmy przedsiębiorczy i energiczni, choć każdy z nas z osobna jest niezdecydowany i nieobrotny. W obcowaniu społecznym bowiem jedne dyspozycje zostają zahamowane, inne zaś wyzwalają się i wzmacniają; przy tym w różnych kontaktach różne. Stąd w różnych kontaktach ujawniają się różne cechy charakteru. I kontakty urabiają charakter, gdy się powtarzają.

Słabsza jest równowaga, gdy między partnerami kontaktu nie ma zgody co do słowa „my“. Jeden z partnerów, A, nie chce po prostu otwierać swej enklawy, nie chce zgoła „czuć się wspólnie“ z kimś innym. Albo, co zdarza się również często, nie chce się zniżać, stawiając się pod jakimkolwiek względem na równi z danym partnerem. Jeśli nawet godzi się na chwilowy, ściśle zakreślony kontakt, to przecież wystrzega się starannie, by go nie dotknęło jarzmo słowa „my“. Ręka partnera B, któryby chciał uścisnąć prawicę A, zawisa w powietrzu. Nieostrożne zaś „my“ na jego ustach wywoła u A uśmiech mrozący, albo wzgardliwe zdziwienie. Nie podpisał A czeku, który B wystawił na intymną liczbę mnogą.

9. Obcowanie wielu osób. Niechaj kilka osób przypadkiem lub rozmyślnie znajdzie się na jednym miejscu, tak blisko siebie, że są wzajemnie obecne. Tu każda jest widzem w stosunku do pozostałych. Każda może oceniać zachowanie

pozostałych i notować w pamięci, co robiły i jak się zachowywały. A więc każda może być świadkiem tego, co widziała i słyszała. Między innymi każda może postrzegać, że inna postrzega jakąś trzecią. Zwiększa się tu ilość luster, które się odbijają wzajemnie. I każda z osób obecnych jest aktorem, który gra wobec wieloosobowej widowni. Jeśli jej zależy na partnerach, a nie zna ich postaw oceniających, albo wie, że są różne, to zachowywać się musi jeszcze bardziej powściągliwie, niż na oczach jednej, jak gdyby stawiała kroki między okami drutu kolczastego, którego nie widzi.

Zebrani tak na jednym miejscu, mając sposobność oddziaływać na siebie wzajemnie, jednostki te tworzą zbiorowisko, w którym mogą powstawać różnorakie kontakty. Tak jest, na przykład, w przedziale wagonu, gdzie znalazło się kilka osób.

Kontakt może tu powstać między dwiema osobami mocą takich samych impulsów, jak między osobami izolowanymi. Przy tym osoby, które się ze sobą zetknęły, wyodrębniają się w zbiorowisku jako zespół. Stają się one parą aktorów pod okiem reszty, która jest teraz widownią. Te dwie osoby mogą się poddawać lub nie poddawać pod jarzmo wspólnego „my”: dla widzów wyodrębniają się, jako całość, niezależnie od swej woli. Poza nimi to zbiorowisko jest chaosem: niesprężone ze sobą jednostki, tylko z ukosa, obrzeżnie, postrzegają jedna drugą, zachowując dystans maksymalny. I nie chcą, żeby ktokolwiek z aktorów lub z widzów dostrzegł, iż interesują się akcją, jaka się zawiązała między dwiema. Każdy obserwuje aktywną parę na swoją rękę, jak gdyby z łoża nieoświetlonej. Tylko ta para przerzuca się działaniami, jak piłką i kontrastowo wydziela się ze zbiorowiska. I widz całkiem naturalnie myśli o dwóch partnerach kontaktu słowem „oni”, kolektywnie. Skłonny jest przy tym przeceniać intymność ich kontaktu, przez prosty kontrast; on sam pozostał opancerzony dystansem, tamci uchylili swej enklawy.

Osoby, związane akcją, mogą mieć różną postawę wobec widza czy widzów. Czasem, niemal nie zdają sobie sprawy, że są w większym zbiorowisku pod obcym okiem. Bywa tak, gdy partnerów ożywia jakieś silne wzruszenie lub impuls. Na podobieństwo cietrzewi zapominają o świecie zakochani; nie patrzą na widownię kumoszki, które dały folgę swej złości; nie dbają o słuchaczy ludzi, którzy dyskutują gorąco. Ale bywa też, iż zdają sobie mniej lub więcej wyraźnie sprawę z tego, iż są pod obstrzałem obserwacji. Wtedy partnerzy zaczynają, choć wbrew lub mimo woli retuszować swoje zachowanie ze względu na tego widza. Czasem po prostu zwężają enklawę i dla partnera i tym samym dla widza: nakładają niejako tłumik na swe ruchy i słowa, zgadując ogólnie, co widz poczytuje za złe i za dobre. Albo znowu partnerzy podejmują sub-

telną grę i starają się zachowywać tak, by się nie zwięzał kontakt między nimi, lecz tylko by widz nie mógł łatwo weń wglądać. Oto zakochana para szepcze lub mówi półsłówkami; oto dwie podróżujące damy zasłaniają przed innymi podróżnymi wymianę swych myśli lichą francuszczyzną. Tu już nawarstwia się, że tak powiem, struktura zespołu. Nad zespołem aktywnym zjawia się nowy czynnik, już nie tylko rejestrujący fakty. Widz zachowuje się wprawdzie nadal biernie, bo nie wchodzi w tok akcji swymi ruchami. Ale samą obserwacją wpływa na to, co czynią i jak się zachowują partnerzy. Tworzą więc wraz z widzem nowy zespół, dwudzielny. Jednym jego członem są oni sami, drugim widz, przed którym rozmyślnie ważą słowa i ruchy. Z zachowania widza, z widomych cech jego osoby, starają się odgadnąć, jaka jest treść norm, którymi widz mierzyć i oceniać będzie ich zachowanie. Nieraz zgadną zupełnie trafnie i widz, choć milczy, staje się rzeczywistą miarą ich ruchów i słów. Ale bywa też, że zgađują fałszywie. Widz spełnia wtedy swą funkcję nie przez to, jaki jest, lecz jakim wydaje się być. Partnerzy dają mu osobowość z własnego urojenia, by z jego oczu i geśców wyczytywać później to, co w nie włożyli w błędnym domyśle. W istocie rzeczy kontrolują się sami, myślami, które chwytają jako cudze, choć są ich własne. I takie urojenie spełnia nieraz ważną funkcję w strukturze społecznej. Wierzenie, które dotyczy tego, co się dzieje w świadomości innego człowieka, może trwać latami nieskorygowane, zwłaszcza jeśli nas od niego dzieli dość duży dystans.

Bywa nieraz, że partnerzy kontaktu nie tylko się godzą z tym, że są na oczach widzów, lecz nawet są z tego radzi. Dzieci, ludzie, słabi wewnętrznie, lubią owijać się, jak bluszcz na sąd innych i z ich ocen, jawnych czy domyślnych, czerpią energię swego działania. Korepetytor domowy żywiej prowadzi lekcję, gdy wie, że w drugim pokoju jest matka ucznia. Nie należy ona do lekcyjnego zespołu, ale z nim razem tworzy zespół wyższego rzędu i ma w nim rolę poważną, bo jest katalizatorem, który swą obecnością inicjuje, przyśpiesza jedne procesy, ohamowuje i opóźnia inne. A i B z zespołu pierwotnego czynią wtedy niejedno tylko dlatego, że są na oczach C; czynią nie dla partnera, z którym się stykają bezpośrednio, lecz dla tego widza. Kontakt staje się, że tak powiem, dwuramienny: obliczem A zwraca się do B, myślą zaś do C. Stąd w jego zachowaniu wobec B jest coś, co nie wypływa z konstelacji jego uczuć dla B, co zjawia się sztucznie, z ubocznego rozmysłu. I to jest elementem gry w jego kontakcie z B. W granicznym przypadku może być tak, że cały kontakt z B powstaje i kształtuje się z myślą o C. Wtedy zespół (A, B) tylko pozornie jest pierwotny; w istocie rzeczy jest pochodną od kontaktu swoistego z C, choć ten ostatni jest tylko niemym widzem.

10. Grupa i zbiorowość. Naturalną, niemal instynktowną jest rzeczą, że dwie osoby, które w zbiorowisku weszły ze sobą w kontakt, chcą się znajdować blisko siebie, najlepiej w takiej pozycji, by ich nie przedzielały inne osoby. Po prostu zawsze i wszędzie każdy człowiek chce mieć najlepsze warunki działania. Gdy ulokują się w zbiorowisku wedle swej woli, można je będzie wyodrębnić wzrokowo. To jest grupa w pierwotnym, naocznym znaczeniu: zespół osób, które znajdują się obok siebie i pozostają w jakimś kontakcie, który je wyodrębnia od reszty zbiorowiska. W przypadku granicznym, w danej ramie przestrzennej może nie być nikogo poza tymi osobami; wtedy dana grupa obejmuje całe zbiorowisko w tej ramie: choćby dwie osoby w przedziale wagonu. Tu grupa ma własną ramę przestrzenną, niby skorupę. W innych przypadkach grupa nie ma takiej ramy. Na przykład: w większym gronie dwie osoby rozmawiają po przez inne. Tworzą one grupę w szerszym, już nie naocznym znaczeniu. Tę grupę wydziela po prostu to, że jej partnerzy pozostają ze sobą w jakimś kontakcie, w który nie wchodzi inne osoby z danego zbiorowiska.

Taka grupa dwuosobowa nie musi mieć samowiedzy zbiorowej. Osoby, które po raz pierwszy spotkały się w przedziale, nie są skłonne widzieć siebie razem jako jedną całość. Raczej każda widzi się naprzeciw partnera, w całej swej odrębności, i nie jest gotowa wiązać się z nim słowem „my“. Tutaj z grupą jest tak, jak z istotą żywą, która też nie musi mieć samowiedzy indywidualnej. I należeć do grupy nie muszą z własnej woli. Czasem jedna narzuca drugiej kontakt, kiedy indziej obie obcuja ze sobą pod przymusem zewnętrznym. Wiele jest nawet takich grup, gdzie jednostka należy wbrew swej woli. Stąd twierdzą niektórzy, że przymus jest znamionem i istotnym rysem życia społecznego.

W przedziale czasu, gdy A i B obcuja ze sobą, zachodzą różne zdarzenia w nich samych i w ich środowisku. Są tu przede wszystkim, działania, społeczne ze swej intencji: rozmyślnie tworzą jakiś stan rzeczy w ciele lub duszy partnera albo zmieniają jego pozycję w zbiorowisku. Oto, powiedzmy, A pyta lub informuje B, świeci mu latarką, użycza gazety. Dalej, są działania na środowisko, doniosłe społecznie, choć podjęte bez myśli o tym, że będą miały znaczenie dla kogoś. A nieostroźnie bije żarówkę, bez której B nie będzie mógł czytać. Są, wreszcie, zdarzenia fizyczne, doniosłe społecznie. Oto się przepala żarówka i partnerzy nie mogą grać w karty. Zdarzenia tych trzech rodzajów, razem wzięte, nazwiemy zdarzeniami doniosłymi społecznie, w poszczególnym zaś przypadku, zdarzeniami, doniosłymi dla danej grupy.

Grupa jest tworem zrelatywizowanym: istnieje ze względu na jakiś określony kontakt i w tym przedziale czasu, gdy zachodzi ten kontakt. To, co w tym czasie czynią członkowie grupy, oraz zdarzenia, dla niej doniosłe — wszystko

to dzieje się w grupie. Te zdarzenia wpływają na grupę jako na całość, na jej budowę, zwartość, liczebność, trwanie. Dzięki nim, inaczej mówiąc, zmieniają się jej cechy jako całości, to znaczy: coś dzieje się z nią jako z całością. Oto na przykład, gdy wzrasta się wzajemna sympatia między członkami grupy, staje się ona bardziej zwarta; gdy przybywa nowy członek, wzrasta liczebnie; gdy ustaje — relatywizujący ją kontakt, przestaje istnieć. Na dzieje grupy więc składa się to, co się w niej i z nią dzieje.

Jeśli pewna liczba osób znajduje się w granicach pewnej ramy przestrzennej tylko przypadkowo razem i jeśli nie ma między nimi wiążących kontaktów, to zbiorowisko ich nie jest grupą. To jest tylko, rzecz można, rezerwuar, w którym mogą łatwo powstawać grupy. Dla każdej z tych osób przynajmniej parę innych jest w zasięgu jej postrzegania; a od tego, że są dla niej obecne, łatwo przejść może do obcowania. Przy tym, jeśli zbiorowisko skupione jest na niezbyt wielkiej przestrzeni, wiele w nim zachodzić może zdarzeń, doniosłych społecznie. Choćby w wielkim hallu dworcowym. Ludzie, którzy tam się znajdują, czekają na przyjazd albo na odjazd różnych pociągów, kupują bilety na różne dni, chronią się przed deszczem, spotykają się ze znajomymi. Nie pozostają tam, by obcować z innymi, którzy tam są. Nic ich nie łączy ze sobą; lecz to, że są blisko siebie, sprawia, iż łatwo mogą wpływać mimowiednie na innych, choćby tylko przez to, że oddychają, że się poruszają, że się ich głosy i kroki stapiają w jeden zgiełk. W myśl naszej umowy nie ma tu jeszcze zasady, by to zbiorowisko nazwać grupą. Ale ze względu na skumulowane w nim możliwości wzajemnego oddziaływania i na rzeczywiste działania mimowiedne, warto je oznaczyć terminem swoistym. Powiemy tedy, że jest to zbiorowość: zbiór ludzi, objętych wspólną ramą przestrzenną, ze wszystkim tym, co się w niej dzieje.

Nie ma wyraźnej i ostrej granicy między zbiorowością i grupą. Ktoś może być skłonny widzieć grupę już w hallu dworcowym. Ludzie, którzy tam są; łączy to, że każdy z nich przecież chciał się znaleźć na dworcu. Ale taki sam cel indywidualny u wielu nie jest jeszcze celem wspólnym. Każdy tu przyszedł z inną sprawą, w każdym razie nie dlatego, żeby obcować z tymi, których spotka na dworcu. Kontakty w hallu są tak luźne, przelotne, mało ważne, że nie ma dobrej zasady, by w nich upatrywać dostateczną więź grupy. Podobnie nie ma zasady, by za grupę uważać podróżnych w pociągu. Zbiorowością też tylko są ludzie w sali koncertowej, nim zaczną grać wirtuoz, czy orkiestra. Gdy zaś grać zaczną, powstaje punkt skupienia. Ta sama siła trzyma w fotelach wszystkich słuchaczy. Ona jest więzią choć nie ma między nimi kontaktu bezpośredniego.

Nie każda zbiorowość jest grupą, choć każda grupa, która ma swą ramę przestrzenną, jest zbiorowością. Ale są grupy, które nie są zbiorowościami: takie zespoły, mianowicie, które nie są wydzielone przestrzennie: A i B, którzy, siedząc przy okrągłym stole wśród innych biesiadników, prowadzą ze sobą rozmowę, nie oglądając się na resztę. Kontakt między nimi tworzy więc grupową i wydziela ich spośród biesiadników, jako zbiorowości. A może ta reszta bierze udział w innej, też wspólnej, rozmowie. Wtedy są dwie grupy, nie wydzielone przestrzennie w jednej zbiorowości. Albo nawet: w jednej grupie większej, która obejmuje tamte. Jest bowiem rącja by ludzi, zebranych przy jednym stole biesiadnym, uważać za jedną grupę, choć się na pewien czas koło dwóch różnych spraw skupią. Taka już jest natura twórców zbiorowych, że jeden może być częścią drugiego, że jednocześnie może istnieć twór większy, a w jego łonie mniejszy. Przykładem sala koncertowa, publiczne posiedzenie sądu. Przypomina to budowę organizmu, w którym narządy wyodrębniają się, jako części względnie samodzielne, i mają funkcję i rolę swoistą, której nie mogą mieć poza tą całością.

11. Trzy osoby i więcej. Dwie osoby nie zawsze biernie się godzą na to, że im się przygląda ktoś trzeci. Przyglądać się komuś, to wdziierać się w cudzą enklawę, to niemal naruszać czyjaś nietykalność. To więc, w pewnej mierze, akt nieprzyjazny, który może wywołać nieprzyjazną reakcję. Możliwe, że A i B jednakowo sprzeciwią się temu, iż C ich darzy swą uwagą. C znowu stanie się katalizatorem, dzięki niemu bowiem w tamtych powstanie zaczątkowa samowiedza zbiorowa: poczucie, że natręt wdziiera się pomiędzy nich swym wzrokiem. Być może nawet, że ta wspólna wobec C sytuacja zbliży ich o tyle, iż powiedzą o sobie: „my“, choć dotychczas broniliby się przed tym słowem. Agresja nieraz łączy ludzi, którzyby bez niej zachowali dystans.

Ale bywa też i tak, że C, obserwując, daje poznać jednocześnie, iż chętnie przyłączy się do rozmowy. Wyczuwając tę niemą ofertę, A i B, mogą ją przyjąć. Mówić zaczynają wyraźniej i głośniejsz, spoglądają już nie ukradkiem na C, otwierając mu miejsce w rozmowie. Gdy C wtrąci swe słowa, powstanie między nimi nowy kontakt. Ułożyć się on może różnie, zależnie od tego, jaka więc wytworzyła się uprzednio między pierwotnymi partnerami. Załóżmy, że zdążyli już stwierdzić z obopólnym zadowoleniem, iż zgadzają się w sprawie, o której mówią. To zadowolenie obudzi między nimi sympatię, a tym samym stworzy więc, która ich przeciwstawi temu C, jako już sformowaną grupę. Do nowej, trzyosobowej grupy, wejdą oni już nie na równi z C, nie jako luźne jednostki, lecz jako dwie osoby, które już wiedzą, że są zgodne. Jeśli u C spotkają się z sądem odmiennym, łączność między nimi jeszcze się umocni i uwypukli. I z ust obu

padnie nieraz słowo „my“, znak uświadomionej więzi. Zawiązek świadomości zbiorowej, poczucie zgodności i sympatia wzajemna, powiększy się o poczucie wspólnego przeciwieństwa. Trzyosobowa grupa ma tu strukturę niejednolitą. Grupa dwuosobowa obcuje tu z jedną osobą, z C: nie trzy kamienie znajdują się w jednym worku, lecz w jednym większym jest jeden kamień i worek z dwoma.

Jeśli natomiast C będzie zgodny z nimi, bieg zdarzeń może być inny. I tu początkowo A i B staną wobec C jako już sformowana grupa. Ale w miarę wspólnego obcowania niknąc będzie podstawa wyodrębnienia. Poczucie zgodności rozciągnie się na trzy osoby jednakowo, tak samo płynąca stąd sympatia. I niebawem grupa się ujednostajni: trzy kamyki znajdą się w worku w jednokowej sytuacji. C nie będzie się już zwracał do grupy dwuosobowej intencją jednoramienną, lecz do dwóch osób na równi intencją, która się dwuramiennie rozszczępi. Podobnie będzie z A i B.

Inaczej, jeśli A i B nie są zgodni między sobą. Nie ma tu więzi, która by przeciwstawiała ich nowej osobie dialogu. Czasowo zetknęli się ze sobą wcześniej, lecz to za chwilę, po wymianie paru zdań, zatrze się całkowicie, niby w związku chemicznym, nie zajęte linie walencji oczekują nowego partnera i rywalizują o niego. Jeśli zgodzi się z A, oni obaj stworzą od razu grupę w ramach większej, trzyosobowej. Ważniejszą więzią będzie to, że oni są zgodni niż to, że A wcześniej rozmawiał z B. To może mieć doniosłe następstwa. B. znajdzie się teraz wobec dwóch przeciwników, którzy się będą wspierać argumentami. I będzie teraz działała na niego sugestywnie myśl o tym, że oto dotychczas, świadek rozmowy, C, przechylił się na stronę przeciwną. Choćby to w oczach B nie dodało siły argumentom przeciwników, to przecież pozbawi go widoków, jakie miał dotychczas, że przekona widza. Ale może być i tak, że C w rozmowie zachowa rolę pośrednią. Wtedy powstanie jednorodna grupa trzyosobowa: każdy z rozmówców broni własnego poglądu.

Inny jest na ogół układ sił w grupie trzech, niż w grupie dwóch osób. W tej każdy liczyć może tylko na własne siły; i to, co się między nimi dzieje, nie ma ani świadków, ani sędziego. W niczyjej pamięci nie utrwałą się ich słowa i czyny; a opowieść każdej z nich będzie z natury rzeczy od razu podejrzana, że jest stronna. Jeśli więc nawet mają między nimi moc jakiejś normy, mniej tu czynników, które by stały na straży tych wskazań. Każda z osób zdana jest na swe własne siły; i równowaga między nimi, a więc i sytuacja każdej, zależna tylko od tego, jaka jest baza emocjonalna kontaktu i jakie siły ciała i charakteru. W trzyosobowej natomiast, nawet jednorodnej, której partnerzy mają pozycje zupełnie jednakowe, każdy z nich w zachowaniu wobec jednego i liczy na dru-

giego, i obawia się go, krócej: bierze pod uwagę, że ten drugi może interweniować. Choćby tylko jako świadek i sędzia. Ta możliwość jest tu stałym składnikiem wszelkiej oceny w rachubie ewentualnych strat i zysków. Stoi ona na straży norm, jeśli jakieś mają moc w danym kontakcie; jest katalizatorem, który się przyczynia do tego, iż powstają normy. C na ogół nie pozwoli zachowywać się naszemu A wobec B tak, jakby nie chciał, żeby A zachowywał się wobec niego samego. Trzyosobowa grupa tedy ma już w sobie z natury rzeczy zaczątki kontroli i sankcji bezstronnej. Stąd pogląd niektórych, że dopiero trzy osoby tworzą grupę.

Gdy wśród trzech osób dwie tworzą grupę ściślejszą, różne mogą być między nimi rozkłady sił. Pod pewnym względem dwie osoby, związane ze sobą, mają zawsze przewagę nad trzecią, która jest wobec nich samotna. Już choćby przez to samo, że na tej spoczywa badawczy wzrok dwóch tamtych, gdy wzrok tej musi się rozdzielać między dwa punkty. A przeważnie dwie osoby razem działać mogą sprawniej i silniej, niż jedna. Towarzystwo niemal zawsze daje otuchę i zwiększa pewność siebie; a dwa wysiłki często dają większy wynik, niż jeden. Ale bywa też, że akcja dwóch osób ma w sobie źródło słabości, której nie zna akcja jednej. Pierwsza musi być uporządkowana: działania obu osób muszą przystawać do siebie w pewien określony sposób, każda więc z nich wystawiona jest na ryzyko, że druga ją zawiedzie i udaremni wspólne plany. A i plany wspólnie ustalić, to znaczy: decyzję wspólnie podjąć trudniej, niż samemu. Stąd, też nieraz C, sam wobec dwóch, czuje dumną przewagę. Czuje się niezależny w decyzji i pewny w obliczeniach jej realizacji. I nawet nieprzyjaznemu naporowi przeciwstawia się bez wysiłku: nie marnuje czasu na to, by się zestrajać z partnerem.

Wśród słów, jakimi wymieniają się w kontakcie trzej partnerzy, znajdują się niemal zawsze zaimki osobowe, które są, rzecz można, zaimkami społecznymi, tak bowiem nierozłącznie wiążą się z obcowaniem ludzi między sobą. Miewiają one różne odcienie treści i różny ton emocjonalny, zależnie od struktury zespołu. Gdy grupa jest jednorodna i partnerzy obcuja ze sobą na równi, „my“ zjawia się *ceteris paribus* trudniej, niż u dwóch osób. Trzeba wszak, by naraz otwarły się w pewnej mierze trzy enklawy. Nie uchylą się one tutaj nigdy tak, jak wtedy, gdy obcuja dwie osoby, i „my“ trzech osób nie jest takie intymne, jak dwóch. Widz zwłaszcza łatwo przecenia intymność tego ostatniego, nie jest mu bowiem dane jasno, jak dalece uchylły się enklawy partnerów. Natomiast „my“ trzech osób wiąże powierzchowniej, a przez to mniej angażuje partnerów. Dlatego czasem dochodzi do „my“ między trzema, choćby nie doszło między każdą możliwą tu parą.

Ale do „my“ dwóch osób wobec trzeciej dochodzi czasem łatwiej, niż bez tej trzeciej. Jeżeli się wyraźnie zaznacza przeciwieństwo między nimi a nim, słowo „my“ daje tylko ostateczny wyraz temu, co już się stało, a mianowicie, że nie masz jednorodności w zespole. To „my“ może wtedy mieć akcent ostry, nawet niemal wyzywający. W myśli lub w słowie towarzyszy mu wówczas słowo „ty“, w którym jest, choćby we mgle nieuchwytniej, tchnienie nieprzyjazne. To „ty“ oznacza przecież osobę, która pod pewnym względem, tu właśnie istotnym, jest obca „nam“, niezwiązana z „nami“, która się jakos uchyla od zgodnego z „nami“ myślenia, odczuwania czy działania, albo której „my“ nie chcemy włączyć pod wspólne zaimkowe miano. W tym „ty“ może być różny ładunek uczuciowy: żal, gniew, pogarda. Czasem takiego „ty“ nie wypowiada się wyraźnie do adresata, by zbyt dobitnie mu nie podkreślać, że jest obcy. Wtenczas między dwoma, w ich spojrzeniach przelotnych, którym się przerzucają, lub w szepcie, „ty“ zamienia się „on“, w którym już bez żenady brzmi ton nieprzyjazny.

Kiedy indziej w tym „my“ nie ma śladu zaczepności. Dwaj partnerzy zwracają się promieniem swej uwagi, twarzą w twarz ku sobie; mówią o sobie „my“ trzeciemu po prostu dlatego, by do wiadomości mu podać, że istnieje więź między nimi. Tak nieraz w radosnym wylewie uczuć młoda para mówi matce: „my się kochamy“. Nie przeciwstawia się jej bynajmniej; przeciwnie chce umocnić swą więź przez to, że ją zapisze w swej świadomości drogi ich sercu świadek. A czasem znowuż bywa, że słowo „my“ poddane zostaje od zewnątrz, przez to, że C zwróci się do A i B spajającym mianem „wy“. Usiłuje spojść na cudzy rachunek, wkracza więc w dwie obce enklawy. Łatwo może się to mu nie udać. Może dopiero kielkowała między A i B więź i intymność; obca ingerencja, jak podmuch zbyt ostry, zdmuchnie tę delikatną nić, która ich dopiero zaczęła osnuwać. Nieopatrznie usiłują nieraz opiekunowie narzucać dzieciom przyjaźni i koleżeństwa; i zapobiegają temu, czego pragną. Czasem przeciwnie, ten trzeci rzeczywiście przyśpiesza to, że więź powstanie lub się zacieśni. Ludzie, których złączono mianem „wy“, spoglądają uważniej jeden na drugiego; jeśli sugestia była trafna, odkrywają w partnerze to, co ich może przyciągać i wiązać albo po prostu znajdują, że już żywią dla wskazanego uczucie, które tworzy więź między nimi. A wtedy to „wy“, co przyszło z zewnątrz, łatwo się zamienia na „my“ w kontakcie wewnętrznym. Jeszcze raz, jak w wielu innych przypadkach, trzecia osoba jest katalizatorem zdarzeń, w które uwikłane są dwie inne.

Zbiorowisko trzech osób jest rezerwuarem zbyt nielicznym, by mogły powstać dwie grupy. Albo amalgamują się wszystkie w jedną całość, albo zachowują odosobnienie, albo naprzeciw grupy dwuosobowej staje trzeci partner, jako

element inaczej związany. W obcowaniu takim, jak rozmowa, gdzie z tematami łatwo się mogą zmieniać bazy, które wiążą, coraz to inaczej mogą się tworzyć grupy. A i B powiedzmy, zgodni są w tym, że interesują się polowaniem; B i C jednakowo rozstrzygają sprawy polityczne; A i C rozumieją się na koniach.

Gdzie są cztery osoby, otwiera się ważna w życiu społecznym możliwość, że zjawią się dwie grupy. Wiązało może w nich być różne. Rozmowa znów jest najlepszym przykładem. Towarzystwo, bywa, rozpada się na dwie grupy: jedna spór prowadzi polityczny, druga zgodnie konwersuje o sztuce; albo i nie konwersuje o niczym, tylko się przypatruje ciekawie dyskutantom i wymienia między sobą uwagi: jest zbiorowym widzem. Słowa „my“ i „wy“ mogą się tu nie zjawić zgoła, bo może nie dojść do wymiany myśli między tymi dwiema grupami, jako takimi. Gdy się zacznie rozmowa w cztery osoby, zmieni się już ugrupowanie osób. A może interesować ich będzie ten sam temat, z dwóch punktów widzenia: A i B społecznie spoglądają na rozbudowę miasta, C i D interesują się samą architekturą. Możliwe, że między tymi dwiema grupami powstanie współdziałanie; lecz i to również, że się przeciwstawia sobie. W tym ostatnim przypadku łatwiej się zjawiają zaimki społeczne, przeciwieństwo bowiem silniej scala wewnętrznie grupy, niż zgodność: tam tylko jest niebezpieczeństwo, które właśnie bywa silnym spoiwem. Przeważnie zaś ludzie otwierają swą enklawę pod naporem i, trzeba dodać, łatwiej mówią „wy“, niż „my“ bo mniej kosztuje uchylić cudzą enklawę, niż swoją.

12. Grupa trwała. Sama natura, z pogardliwego kaprysu, tworzy z rzadka grupy najtrwalsze. Wydaje, mianowicie, na świat twory potworne, dwie istoty, częściowo ze sobą zrośnięte. Każda z nich jest jednostką, ma świadomość odrębną, własny cykl funkcji życiowych i na znacznej powierzchni ciała własną powłokę skórną. W regionie zrośnięcia zaś istnieje niejako kondominium: z tej samej strefy ciała biegną nerwy do dwóch odrębnych układów centralnych. To nie narusza opancerzenia duszy. Nawet wrażenia ze strefy wspólnej należą do każdego z przymusowych partnerów oddzielnie.

Ale w kontakcie pozostają przez całe życie, zawsze we wspólnym środowisku, zawsze pod działaniem tych samych bodźców, zawsze zgodne ostatecznie w działaniu. Każda z tych istot jest nieustannie widzem dla drugiej i wie o niej wszystko, o czym może powiedzieć poinformowana domyślność. Łączy je też wspólne dobro najściślej, razem muszą bronić swego życia. Wspólnota sięga między nimi najdalej, jak sięgnąć może u dwóch istot. Jest widoczna, namacalna, niezależna zupełnie od tego, czy ją ktoś widzi i postrzega. Te sprzężone

istoty mogą się znaleźć w rojnym i tłocznym zbiorowisku, a nie mniej pozostaną wyraźnie wydzielone, jako grupa; wspólna powłoka jest naturalną ramą przestrzenną, która je zespala i wyodrębnia.

Niżej, u zwierząt i roślin, spotykają się często grupy sprzężone trwale. Kolonia koralu, zamknięta w masie, którą sama wytwarza, zespolona jest organicznie. Trwale związana jest jemioła z drzewem, które oplata. Ale i kępa krzewów, których korzenie pokrzyżowały się wielokrotnie pod ziemią, też zrosła się organicznie i trwale. Nie mniej trwałą grupą jest zbiorowisko drzew, które nazywamy lasem.

Nie każda jednak grupa wyosobnia się tak wyraźnie i trwale. Dwie osoby, które w tłumie dają sobie znaki z daleka, są z sobą w kontakcie, choć się nie wydzielają przestrzennie. Jeśli ten kontakt jest doniosły dla nich, czy dla innych ludzi, można uznać, że one tworzą grupę w tym zbiorowisku. Tylko ten kontakt jest jej spoiwem; gdy ustanie, zniknie grupa. Będzie więc tak efemeryczna, jak obcowanie partnerów. Ale nie zawsze razem z kontaktem przestaje istnieć grupa. Nieraz i w przeświadczeniu partnerów, i w oczach dziejopisarza grupa przeżywa płynną chwilę styczności i trwa jakoś do następnego zetknięcia lub poprzez szereg zetknięć, czasem oddzielonych długimi przerwami. Muszą być spełnione pewne warunki, by dziejopis taką właśnie grupę widział w wartkim prądzie dziejów.

Dwie rzeczy na jednym stole mogą jednocześnie zająć uwagę widza. Powie on sobie, że się znajdują obok siebie. Myśl jego wyodrębniła zespół tych dwóch rzeczy i ustaliła, że między nimi zachodzi pewien stosunek. Nie umiemy określić, co to jest stosunek. Możemy tylko ustalić, że widz nie stworzył tego stosunku, lecz go znalazł i zanotował. Ten stosunek nie jest cechą jednej z tych rzeczy, ani cechą każdej z nich z osobna. Jest to rys opisowy, który przysługuje naraz tym dwóm rzeczom, wziętym jako całość. Zespół rzeczy i stosunek między nimi łączą się myślowo. Ten zespół w tej jego postaci z konieczności pozostaje w tym stosunku. Gdyby między nimi inny był stosunek, inną miałby postać zespół. Postać i stosunek związane są ze sobą — raczej symetrycznie, bo niepodobna orzec, czy postać wyznacza stosunek, czy też odwrotnie. Że jakiś wyraz jest nazwą stosunku, poznajemy z tego, że jego sens jest niepełny, póki nie nazwiemy tych rzeczy, które są w nim uwikłane. Brakuje czegoś gdy powiemy: „R jest obok“; zdanie staje się pełnym, gdy dodamy: „R₁ jest obok R₂“.

Tak samo rzecz się ma z innymi stosunkami. Podobieństwo, na przykład, zachodzi między dwiema rzeczami, przy tym zawsze się ogranicza do pewnej określonej cechy lub zespołu cech. Trzeba więc wskazywać zawsze, pod jakim względem, co do czego, rzeczy są podobne. Dwa kwiaty mogą być podobne co do

barwy, niepodobne co do kształtu. Barwa jest tu podstawą porównania; jest wyznacznikiem relatywizującym stosunku. Dokładnie wysławiając stosunek, trzeba wyraźnie wskazać ten wyznacznik. Ale barwa nie jest uwikłana w podobieństwo na równi z rzeczami podobnymi. W stosunkach złożonych może być kilka naraz wyznaczników. Do tych wyznaczników może, między innymi, należeć przedział czasu. Kwiat w pełni swej czerwieni podobny jest do innego czerwonego; nie będzie podobny, gdy zwiędnie i zblednie. Cecha, która tu jest wyznacznikiem, trwa tylko przez czas pewien, i podobieństwo trwa też tylko tak długo, jak porównywane cechy. Taki stosunek, który ma wyznacznik czasowy i który tym samym powstaje i mija, to stosunek czasowy. Nie każdy stosunek jest taki. Choćby $2/3$ w czasie dowolnym, zawsze.

Stosunek czasowy ma swój początek i koniec. R_1 , leży na stole obok R_2 , bo się tam znalazły, każda w określony sposób. Dzięki tym dwóm zdarzeniom powstał dany stosunek. Te będziemy nazywali zdarzeniami, tworzącymi stosunek. One sprawiają, że zjawia się zespół, a w nim dany stosunek. Przy tym ten sam stosunek może powstawać na różne sposoby. Wczoraj R_1 położył A, B zaś R_2 ; dziś obie rzeczy przyniósł C. Zdarzenia tworzące wyraźnie nie są tu wyznacznikami samego stosunku. Ale bywa, że zdarzenie jest wyznacznikiem. Oto, na przykład, A jest matką B ze względu na to, że A urodziła B. Urodzenie jest jedynym wyznacznikiem macierzyństwa.

Ten stosunek jest jednym z tych, które mogą zachodzić tylko między istotami żywymi. Nazywamy je społecznymi, bo zachodzą tam jedynie, gdzie społeczeństwem znajdują się istoty żywe. Tworzyć taki stosunek mogą różnorakie zdarzenia. A więc zdarzenia fizyczne w środowisku, zdarzenia w ciele i w duszy. Wiatr znosi na jedno miejsce nasiona sosny i dębu, które później latami będą sąsiadować ze sobą. Od ciała macierzystego oderwie się ciało potomka i powstanie stosunek macierzyństwa. Sformuje się uczucie miłości w duszy A ku B, a zawiąże się między nimi stosunek oddania. Stosunki, bardziej złożone, jakie zachodzą w większych zbiorowiskach ludzkich, powstają nieraz dzięki wielu zdarzeniom różnym. Na to, że dwa narody współzawodniczą ze sobą gospodarczo, składa się i to, że dobry klimat daje im dobre zbiory, i to, że rodzi się naciemnie wiele dzieci, i to wreszcie, że się wzmaga świadomość narodowa.

Tylko w przypadkach najprostszych stosunek trwa tak długo, jak zdarzenie, które go stworzyło. Na przykład: A ma moc fizyczną nad B, ściśle biorąc tylko dotąd, póki go trzyma w swym uścisku. Gdy go wypuści ze swych rąk, już może B nie dostać się po raz drugi w jego kleszcze. Częściej jednak bywa, że stosunek trwa dłużej, niż zdarzenie, które go wytworzyło. Choćby macie-

rzyństwo. Poczęcie czy narodzenie jest krótkim zdarzeniem, to natomiast, że A jest matką B, jest stosunkiem, który pozostanie na zawsze. Wprawdzie może o nim zapomnieć A, B zaś zgoła nic nie wiedzieć. Lecz może powstać taka sytuacja, że ktoś z nich, albo jakaś inna osoba, będzie chciał stwierdzić ten stosunek, który przecież tłumaczy cechy istoty B cechami istoty A. Podobnie rzecz się ma tam wszędzie, gdzie zdarzenie tworzące stosunek, ma skutki dość doniosłe dla istot, uwikłanych w stosunek. Tak, na przykład A, który nauczył B jakiejś rzeczy bardzo cennej, pozostaje na zawsze jego mistrzem; a gdy mu wyświadczył wielką usługę, do końca życia będzie dobroczyńcą.

W oczach tego, kto o tym stosunku myśli, A i B przedstawiają zespół, jak wiemy już bowiem, stosunek i zespół wiążą się ze sobą nierozzerwalnie. Ale to nie znaczy, by ten zespół, wydzielony w myśli ze zbiorowości, był grupą. Gdy matka zapomni o swym dziecku, które jej nawet nie zna i gdy żyją w zbiorowości tak licznej i rozległej, że nie ma prawdopodobieństwa, by weszli w kontakt, wtedy nie ma racji, by ich uważać za grupę.

Inaczej, kiedy trwa stale możliwość, że A i B zetkną się znów ze sobą i że jedno oddziała na drugie. Bez, sąsiad konwalii, nie zawsze rzuca na nią cień opiekuńczy, ale sąsiedztwo to sprawia, że bez ocienia konwalię, ilekroć padną nań promienie słońca. Styczność powtarza się, powraca, jest więc trwała więź między nimi. Jeśli trwale możliwe jest działanie jednego partnera na drugiego, to jest racja, by ich wydzielać myślą jako grupę, nawet wtedy, gdy nie są w zbiorowości obok siebie. A i B, którzy codzien spotykają się przy pracy, są grupą i w tych godzinach dnia, gdy nie są ze sobą. Myśl nasza lub ich własna interpoluje egzystencję tej grupy, na podobieństwo tego, jak rzeczom fizycznym przypisujemy, że istnieją i wtedy, gdy nie są dla nas obecne. Nie w każdej tedy chwili swego istnienia grupa jest uchwytne dla oka widza. Co więcej, są takie grupy, które nigdy nie są uchwytne dla oka, bo partnerzy działają na siebie na odległość, rozproszeni w zbiorowości. Choćby ludzie, którzy w interesach rozmawiają ze sobą tylko telefonicznie, albo którzy wymieniają listownie znaczki pocztowe.

Działanie może się powtarzać, gdy są dane niezmiennie warunki w świadomości działającego, które nazywamy dyspozycją do działania. Tkwią one w dążnościach i uczuciach i dlatego te postawy emocjonalne są niby zwory, sczepiające ludzi w grupy. To, że A kocha B, że go nienawidzi, że się o niego troszczy, że mu jest wdzięczny, to wiąże go z tym B, każe o nim myśleć i skłania do działań. Ale sama postawa emocjonalna jeszcze nie wystarcza, by A i B tworzyli grupę. Wyznacza ona tylko stosunek A do B, który sam przez się nie

wydziela grupy, podobnie jak nie wydziela czasem macierzyństwo. Idąc za mową potoczną, dobrze jest tam dopiero upatrywać grupę, gdzie z postawy uczuciowej wypływają powrotne działania. A więc to, że A kocha B, jeszcze nie wiąże go w grupę kochaną, gdy ich dzielą setki kilometrów. Ale będą grupą jeśli A, powodowany tym uczuciem, przypomina jej o sobie częstymi listami.

Skoro grupa może istnieć i w tych odcinkach czasu, gdy nie ma między partnerami kontaktu, to ta sama osoba ze względu na różną więź może naraz należeć do dwóch i więcej grup, które się w niej krzyżują. Tym się zasadniczo różni struktura społeczna od budowy atomu: elektron, który należy do jednej konstelacji, nie może w tym samym czasie należeć do innej.